

Angielski to nie wszystko

Rozmowa z prof. Tomaszem Wicherkiewiczem

Skoro chronimy gatunki żywe i chcemy, by misie koala przetrwały, to spróbujemy zachować też język wilamowski, kornwalijski czy dialekty języka francuskiego, bo to również nasze dziedzictwo i bogactwo. Świat nie musi być tak zhomogenizowany i nie wszędzie musimy mówić po angielsku – przekonuje językoznawca prof. Tomasz Wicherkiewicz, badacz języków mniejszościowych i rzadziej używanych oraz mniejszości językowych i języków zagrożonych.



Spytam prowokacyjnie: skoro dążymy do tego, żebyśmy wszyscy na choćby podstawowym poziomie porozumiewali się językiem angielskim, to po co nam języki mniejszościowe?

A ja odpowiem pytaniem na pytanie: rzeczywiście do tego dążymy?

Znakomita większość z nas angielskiego uczy się w szkole, zapożyczamy słowa z tego języka, mamy poczucie, że jeśli go znamy, to poradzimy sobie w każdej części świata.

Tylko w jakim stopniu znamy ten język? Nam się wydaje, że wszyscy dobrze mówimy po angielsku, ale to złudzenie. Większość z nas używa go na bardzo podstawowym poziomie, co psycholingwistycznie działa na nas destrukcyjnie. Obumiera wzajemna porozumiewalność w językach blisko spokrewnionych. Mimo że nie jestem slawistą, pamiętam spotkania z przedstawicielami języków słowiańskich, w czasie których zawsze nalegałem, by porozumiewać się tak, że każdy będzie mówił własnym językiem – każdy innym, choć blisko ze sobą spokrewnionym: czeskim, słowackim, polskim, kaszubskim, łużyckim czy śląskim. I to działało. Ale mniej więcej od dwóch dekad wśród młodych ludzi, także naukowców, ten zwyczaj obumiera. Młodzi Słowacy, Czesi, Chorwaci upierają się, że nie rozumieją polskiego i wolą rozmawiać po angielsku. Albo dziennikarz z Polski rozmawia z politykiem ukraińskim i przechodzą na angielski. To sytuacja formalna, być może potrzebna jest wyjątkowa precyzja w porozumieniu, a nie zażyłość, ale przecież na co dzień w Polsce jesteśmy w stanie dogadać się z Ukraińcami, łącząc język polski i ukraiński, po prostu mówiąc powoli i wyraźnie. Niestety, zupełnie porzucono drogę rozwijania biernej znajomości języków.

Pamiętam ze szkoły, że nie była ona szczególnie ceniona. Co z tego, że rozumiesz, co słyszysz, skoro nie potrafisz mówić.

Rzeczywiście, ta sprawność nigdy nie była specjalnie wspierana przez glottodydaktyków, mimo że jest równorzędna z trzema pozostałymi: mówieniem, czytaniem czy pisanie. Przez to nie zauważamy ogromnego pola do porozumienia nie tylko między Słowianami, ale także między Włochami, Portugalczykami, Hiszpanami i Katalończykami lub Skandynawami. Temu właśnie służy np. klasyfikacja języków na bliżej lub dalej spokrewnione. Niestety, od ostatniego przełomu wieków tracimy też entuzjazm do uczenia się języków rzadszych, a przecież stanowią one dziewięćdziesiąt procent języków ludzkości. Na ludzi, którzy znają wiele języków, patrzy się dziś jak na cuda natury. Nieraz słyszałem zdziwienie, że sam znam ich tyle. A przecież niektóre opanowałem wyłącznie biernie, niektóre na poziomie towarzyskim, inne na poziomie wykładów akademickich. Repertuar może być zmienny i warto, by znajdował się w nim nie tylko angielski, francuski

Rozmawiała
MARTYNA ŚMIGIEL
Korespondentka FRSE

czy niemiecki. Przypomnę tylko, że w parlamencie Austro-Węgier poseł mógł zabrać głos w jednym z dziewięciu oficjalnych języków.

Gdy jednak słyszymy dziś polskich europosłów, którzy w Parlamencie Europejskim mówią po polsku, to mamy ich za zaściankowych.

A jednak Unia Europejska przyjęła, że jej językami oficjalnymi są języki wszystkich państw członkowskich, co oznacza, że irlandzki czy maltański funkcjonują na równych prawach jak niemiecki i angielski. Ten ostatni zresztą po brexicie jest oficjalnym językiem Unii Europejskiej tylko dzięki Malcie i Irlandii. Cokolwiek więc myślimy o naszych europosłach, Unia wspiera ideę różnorodności językowej i języki mniejszości. Może to dowód końca globalizacji, o którym czytam w różnych rozprawach politologicznych czy ekonomicznych z ostatnich miesięcy.

Języki regionalne zyskują nobilitację?

To już się dzieje. Baskowie, Katalończycy i Galisyjczycy zażądali na forum Unii Europejskiej równych praw dla swoich języków, a Królestwo Hiszpanii zgodziło się pokryć koszty tłumaczeń. Nie jest to rozwiązanie na poziomie unijnym, ale dotyczy Wspólnoty dzięki decyzjom budżetowym i politycznym władz Hiszpanii. Ślązacy walczą z kolei o nadanie im statusu odrębnego języka. To pokazuje, jak bardzo społeczności są przywiązane do swoich języków. Angielski może i daje wygodę porozumiewania się, ale mimo wszystko bronimy języków narodowych i regionalnych.

Z czego to wynika?

Społeczności ludzkie, zwłaszcza w ostatnich dwóch stuleciach, rozwinęły poczucie tożsamości grupowej oparte na różnych markerach. Jednym z głównych jest właśnie język, który odgrywa również rolę scalającą. Sami jesteśmy członkami społeczności polskojęzycznej, która zwłaszcza od końca II wojny światowej jest nastawiona na homogenizację. Właściwie ten proces trwa od stu lat, bo już po I wojnie światowej, po wielu latach zaborów, jednym z elementów, który miał ujednolicić wieloetniczne wówczas państwo, był język. Prowadzono więc politykę niesprzyjającą zróżnicowaniu językowemu, a także dialektycznemu. To podejście zostało nam do dziś, bo jakkolwiek mocno nie deklarowalibyśmy zamiłowania do dialektów i gwar, lubimy je, gdy pozostają na poziomie folkloru. Fajnie się *gōda po ślōnsku* na folk-imprezie, ale co do zasady nie lubimy różnorodności językowej w sferze ogólnospołecznej, ponieważ postrzegamy ją jako zagrożenie dla państwowości. Polityka centralizacji doprowadziła jednak do uzewnętrznienia tożsamości regionalnych również przez poczucie odrębności językowej. Przy okazji ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych pojawiło się pojęcie języka regionalnego, którego status wywalczyli już Kaszubi dla swojego języka. Zwiększa się społeczne przyzwolenie, by podobny status przyznać Ślązakom czy małej społeczności, którą zajmuję się od ponad trzech dekad, czyli mieszkańcom Wilamowic koło Bielska-Białej.

Ich językowi groziło wymarcie.

To mikrospołeczność językowa, której ostatni tradycyjni użytkownicy odchodzą, ale dzięki oddolnym ruchom rewitalizacyjnym i różnym programom wspiera się przekazywanie tego języka. Po prostu znaleźli się ludzie, którzy postanowili się go nauczyć. Czyli w nieco mniej naturalny sposób, dzięki ludzkiej ingerencji, podjęto próbę zachowania języka wilamowskiego, mimo że jest językiem słabym, zagrożonym, wymierającym.



Język da się sztucznie utrzymać przy życiu?

Oczywiście naturalnym kanałem trwania języka od niepamiętnych czasów jest przekaz międzypokoleniowy. Wiemy zresztą z badań psycholingwistycznych, w jak niesamowicie fascynujący, efektywny i szybki sposób dziecko uczy się mówić w swoim rodzimym języku. Później pewna „zapadka” w naszych mózgach się zamyka. Jako dorośli, ale też nastolatki, uczymy się języka zupełnie inaczej. Właściwie cały repertuar językowy, którego nie przyswajamy jako dzieci, pobieramy jako języki obce. W procesach rewitalizacji języków zaczęto się więc zastanawiać, co zrobić, by te wymierające odtworzyć, jeśli nie jest możliwa ich naturalna wymiana, a w ich znajomości pojawiła się przepaść pokoleniowa. I okazuje się, że jest to możliwe, jeśli ci, którzy nauczają się tego języka, staną się aktywnymi rodzicami, mówcami, którzy przekażą go swoim dzieciom. To od tego nowego pokolenia, które nazwałem „neomówcami”, zależy, co stanie się z wymierającymi językami. Tego zadania podjęli się m.in. Kornwalijczycy w Wielkiej Brytanii czy użytkownicy języka manx na wyspie Man, które właściwie już wymarły, ale zdecydowano się je zrewitalizować.

Ktoś mniej życzliwy mógłby powiedzieć: ale przecież język jest narzędziem, jeśli przestaje być dla nas użyteczny i wymiera, to może po prostu nie jest nam potrzebny?

Zgadzam się: jeśli ktoś uważa, że posługiwanie się językiem mniejszościowym lub regionalnym jest obciążeniem dla jego rodziny i społeczności, to my – jako językoznawcy – nie mamy prawa naciskać, by język przetrwał. Nie jesteśmy mądrzejsi od użytkowników języka. Są zresztą językoznawcy, którzy uważają, że rewitalizacja to swego rodzaju nekrofilia językowa. Jeśli jednak w społecznościach pojawiają się takie oczekiwania i ruchy, to ja na pewno będę je wspierał. Moje zamiłowanie do języków rzadkich to może rodzaj poszukiwania egzotyki, ale na pewno również potrzeba, by świat nie był tak zhomogenizowany. Skoro chronimy gatunki żywe i chcemy, by misie koala przetrwały do następnych pokoleń, to spróbujemy zachować też język wilamowski, kornwalijski, dialekty języka francuskiego, kurpiowski czy huculski dialekt języka ukraińskiego, bo to również nasze wspólne dziedzictwo i bogactwo ludzkości.

Czy to pozostanie potrzebą hobbystów i badaczy, czy może będziemy masowo wracać do języków regionalnych?

Niektórym trudno to sobie wyobrazić, ale czymś zupełnie naturalnym na świecie jest, że przeciętny człowiek zna wiele języków. I nie mam tu na myśli tylko poligloty, który jako dyplomata jedzie do Genewy lub Brukseli, mówiąc po angielsku, francusku i niemiecku. Takim samym szacunkiem obdarzmy mieszkankę Białostocczyzny, która mówi po polsku, ze szkoły pamięta jeszcze rosyjski, ze względu na kontakty z sąsiadami zna białoruski czy ukraiński, mówi także po miejscowemu, czyli po podlasku, a modli się w staro-cerkiewno-słowiańskim. Takie miejsce to – można powiedzieć – „hotspoty” wielojęzyczności, z których istnienia często nawet nie zdajemy sobie sprawy. Dużych języków w skali świata jest raptem około dwudziestu. Pozostałe to bogactwo nawet siedmiu tysięcy języków, spośród których wiele wciąż jest w użyciu. Czyli są potrzebne.

Wspieranie różnorodności językowej powinno stać się priorytetem polityki europejskiej?

Z pewnością na bogatszej tzw. globalnej Północy są warunki, by wielojęzyczność wspierać. Oczywiście w wielu miejscach jest postrzegana jako zagrożenie. To, co dzieje się w Chinach czy zajętej wojną Rosji, wskazuje, że cierpieć będą społeczności mniejszościowe, posługujące się językami innymi niż oficjalny, państwowy. Dyktatury i państwa autorytarne nigdy przecież nie były zainteresowane wspieraniem różnorodności. Dyskryminacja ma wiele twarzy i wiele z nich dotyczy również języka, dlatego jeśli zależy nam na działaniach antidyskryminacyjnych, to powinniśmy wspierać społeczności mniejszościowe w dążeniach do zachowania ich języków.

Czyli nie jesteśmy skazani tylko na język angielski?

W wielu sytuacjach po prostu czujemy się lepiej we własnym języku, dlatego więc nie posługiwajmy się nim, jeśli nasz rozmówca jest w stanie przynajmniej go zrozumieć? I przestańmy oczekiwać, że cały świat, łącznie z barmanką na niemieckiej prowincji czy sklepikarzem z Lubelszczyzny, będzie znał język angielski. Uczmy się, próbujmy rozumieć języki lokalne, mniejszościowe. Nie traktujmy nauki języków tylko w kategoriach ekonomicznych. Badania neurolingwistyczne wskazują, że wielojęzyczność jest bardzo zdrowym stanem dla naszego umysłu, który zapobiega rozwojowi choroby Alzheimera, prowadzi do wyższej sprawności intelektualnej. Skoro wiemy, że należy ćwiczyć ciało i zdrowo się odżywiać, to wypełniamy także przestrzenie naszego mózgu różnorodnymi językami.

DR HAB. TOMASZ WICHERKIEWICZ, PROF. UAM

Językoznawca specjalizujący się w socjolingwistyce, polityce językowej i planowaniu językowym, a także w badaniach mniejszości oraz języków zagrożonych, mniejszościowych i regionalnych, mniej używanych i rzadziej badanych, w rewitalizacji i dokumentacji językowej, oraz w ochronie i badaniach praw mniejszości językowych. Jego badania obejmują również typologie i socjolingwistykę (w tym socjolingwistykę historyczną) systemów pisma i ich elementów. Autor i kierownik projektu „Dziedzictwo językowe Rzeczypospolitej – Baza dokumentacji zagrożonych języków” (www.inne-jezyki.amu.edu.pl). Kierownik Katedry Polityki Językowej i Badań nad Mniejszościami oraz zastępca dyrektora ds. naukowych w Instytucie Orientalistyki UAM. Studiował w Polsce, Niemczech, Azji i Ameryce Północnej.